

Zaśmienie konia

Dorośli powiadają, że dzieciaki szkolne spędzają czas w beztrosce i zazdroszczą im, jak to mówią, legackiego życia. A to wcale nie prawda. Pamiętam ile to kłopotów miewało się na co dzień. Mieliśmy poważniejsze zmartwienia niż dorośli. Dorosłym wystarczyło się najeść do syta aby mieć siłę do roboty w polu i dni im mijały...

W naszych ptasich główkach rozgrywały się ważne potyczki, które miały bronić honoru ojcowskiego kota, domu...

Chociaż miewało się łeb nadęty jak balon, ale rodzice, krewni, mawiali: ach ty ładna mordko.

Nie lubiłem takiego określenia. Widocznie mieli w tym czasie dobry nastrój, może komornika udało się im oszukać, a może w jakiś tam sposób zdobyli parę złotych i byli zadowoleni, że mają za co kupić chleb. Zapewne mawiali w takiej sytuacji - w dupie bieda. Właśnie przy takich okazjach mawiali ach ty ładna mordko i głaskali po głowie, a mieli po czym ciągać łapą.

Nie lubiłem takiego określenia. Wolałem jak mówiono do mnie ach ty duży łbie. Wiedziałem, że mówią prawdziwie.

Takie szczere określenia padały często, bo powodu do złego humoru dorosłym, nie brakowało. Ale to nie mój świat.

My szkolniacy mieliśmy własne kłopoty, plany i trzeba było je realizować, sprytnie obmyślać nowe kłamstwa by nie być gorszym od kolegi, od dziewczyny tej z końca wsi, której rodzice często nosili z poczty do domu wielkie paczki z jakiejś tam amerki. Na tych paczkach to było tak napisane, że rozczytać nie można było nawet i po skończeniu kilku lat szkoły. Z tą dziewczyną to nikt nie chciał rywalizować. Ona i tak była najmądrzejsza i najlepiej ubrana. My to my, ale nawet nauczyciel zostawiał ją w spokoju, a nawet udawał, że ją lubi - zwracał się do niej po imieniu. Raz to napisała temu nauczycielowi w dzienniku, że więcej nic nie dostanie od jej mamusi. Nauczyciel udał, że napisu nie zauważył i dalej prowadził lekcję.

Oj trzeba mieć cierpliwość, gdy się jest dorosłym.

Któregoś dnia ławkowy kolega powiedział, że koń mojego ojca dostaje zadyszki i staje w drodze, żeby nabrać sił. To nie była prawda! On stawał z przyzwyczajenia bo był bardzo mądry a zadyszki to nie miał. Prawdą było, że był leniwy. Miał rację. Dopiero jak ojciec wymierzył porcje batów, postanawiał ciągnąć dalej. Taka była prawda o koniu mojego ojca, a tym samym o moim koniu. Stwierdzenie, że on dostaje zadyszki, to było znieważenie jego godności, potwarz.

Przez długie dni rozszyfrowywałem kolegę, badałem jego słabe miejsca, przysłuchiwałem się plotkom dorosłych na temat jego rodziców i kompletowałem prawdę o nim. Wszystko po to, by móc się zrewanżować i przestać być obiektem kąśliwych żartów i drwin. Wybrałem najstosowniejszą chwilę i oto cała klasa dowiedziała się, że jego ojciec zbiera i sprzedaje butelki, bo nie ma za co kupić chleba. Odniosłem wrażenie, że ugodziłem kolegę w najczulsze miejsce. Chyba to była prawda, bo przez długie miesiące do mnie się nie odzywał.

Lecz moje kontruderzenie nie zostało pochwycone przez resztę klasy, dzieciaki się nie śmiały z tego. Milczały.

Czyżby i ich rodzice też dorabiali zbieraniem powyrzucanych butelek?

Kolegę miałem z głowy ale o to nowe kłopoty się pojawiają, tez ważne bo z takimi kłopotami nie można

było się bawić z kolegami. Koledzy wymawiali mi niezaradność, stukali się w czoło i mawiali, że oni to już dawno skończyli by z tą sprawą. A co to za sprawa była? Nie pamiętam, ale musiała to być sprawa skoro po jej załatwieniu zdobyłem uznanie klasy. Tylko pani wychowawczyni tłumaczyła, że tak nie można i dopytywała się, kto mnie do tego namówił. Ojciec złapał mnie za frak, położył na kolanie i grzmocił po tyłku i tylko słyszałem głos matki: - cholero nie bij mnie dzieciaka bo go wystraszysz. Ale ja się nie wystraszyłem. Wyrwałem się ojcu i uciekłem do pobliskiego lasu, a rodzice, na prawdę wystraszeni, chodzili i mnie szukali krzycząc głośno, abym słyszał ich zapewnienia, że nie będą już na mnie krzyczeć, nie mówiąc o biciu.

Ta sprawa też przeminęła i nie była sprawą i zdawało się, że teraz będzie wszystko w porządku. Ale gdzie tam. Przychodziły wciąż nowe problemy a stare tak pomału odchodziły i następowało ich spiętrzenie. Wtedy zdawało się człowiekowi, że świat jest pokićkany i to tak dokładnie, że aż robiło się smutno. W takich sytuacjach, najlepiej na lekcji, wystarczyło pogapić się w okno aby zapomnieć o trapiących problemach.

Za oknem roztaczał się widok na zaorywane pole. Mówią, że twój ojciec orze pole, a widać jak na dłoni, że to koń ciągnie pług, a ojciec doczepiony do pługa, tylko za nim chodzi i poganiania konia. Jak ci dorośli rozmijają się z prawdą. Weźmy na ten przykład dzisiejszą lekcję polaka. Pani nakazała otworzyć książkę na końcu tam gdzie są takie ładne obrazki. Wskazała nam jeden z nich i zapytała nas co na nim widzimy? A widać było jakąś pokraczną maszynę i konia ciągnącego pług, a za pługiem szedł przygarbiony chłop. Przygarbiony ale w kapeluszu. To chyba biedy nie miał? Nasza pani która miała prawo uważać się za najmądrzejszą w klasie, powiedziała że to zaćmienie konia. A to co nazwalismy pokraczną maszyną, to traktor i że on, ten traktor, przemieni nasze życie z biedy - w dobrobyt. Mało tego. Dodała że wkrótce ta maszyna się pojawi i też nastąpi zaćmienie konia. Aż ten zupełnie zniknie a będzie wszech obecna maszyna, taka jak na obrazku. Klasa struchlała, zapanowała cisza. Ze łzami w oczach myśleliśmy, że nasz koń zniknie. A jak zniknie to wiadomo, że nie będziemy go mieć, sama pani tak przecież powiedziała a pani wie co mówi. Ale jak pani dodała, że wtedy żyto się nie zmieści w ojcowskich stodołach a mąka będzie przez cały rok, na okrągło, klasa na powrót pojaśniała. Gęby poczęły się śmiać bo widzieliśmy oczami wyobraźni jak nasze mamy, uśmiechnięte, stawiają na stoły kluski na mleku, pachnące pączki, wyciągają z pieca gorące chleby...

Lecz to były tylko marzenia a realność realnością. Dlatego dźwięk dzwonka natychmiast zmywał namalowany przez panią od polskiego obraz przyszłego dobrobytu. Wybiegaliśmy z krzykiem na korytarz. Na korytarzu urządzaliśmy gonitwy, zabawy a część z nas zajmowała swoje kąty i rozmyślała kiedy będą mogli rzucić te szkołę w diabły i chodzić wytrwale za pługiem jak ojciec, by nie dopuścić do wtargnięcia na nasz zagon tej strasznej maszyny pożerającej konie.

Następną lekcją były rachunki a my dalej rozmyślaliśmy o najnowszej wiadomości. W końcu doszliśmy do wniosku, że jak najszybciej o tym trzeba powiadomić rodziców, niechaj coś robią żeby nie dopuścić do najgorszego. My rozmyślaliśmy a nauczyciel tłumaczył jak trzeba odejmować a jak dodawać żeby wyszło to co ma wyjść. Pod koniec lekcji domagał się abyśmy powtarzali to co on nam mówił. A my ani w ząb. Jaki on był wściekły. Pienił się, targał nas za uszy, a my tylko zaciskaliśmy zęby, gapiliśmy się w okno i żadnego słowa z nas wydusić nie zdołał. Później się wyjaśniło dlaczego to pan od rachunków, był taki zły. Nie brak znajomości lekcji ale przebiegłość kota, była powodem złego humoru. Tak, to kot okazał się sprytniejszy od pana co na nas krzyczał. To kot zabrał, przygotowaną wcześniej przez pana kanapkę i ją zjadł.

Jak postanowiliśmy na rachunkach, tak zrobiliśmy. Najpierw całą klasą przybiegliśmy do najlepszego naszym zdaniem gospodarza. Później każdy z osobna pytał się swojego rodzica czy to prawda i czy można temu jakoś zaradzić? Ale rodzice tylko coś pomrukiwali i nic nie powiedzieli co by nas uspokoiło. Przez jakiś czas chodziliśmy zamyśleni, ale po kilkunastu dniach na nasze twarze na powrót powrócił, zda się beztroski uśmiech. Ale to był pozór, bo tajemnicza maszyna wciąż była

przedmiotem rozmyślań. A ile to udręki mieli przez tą maszynę rodzice?

W końcu doszliśmy do wniosku, że jeżeli ta maszyna potrafi zapewnić zboże przez cały rok, aż do nowego, a to by znaczyło że przednówka już nie będzie, no to niechaj przychodzi na nasze pola i niechaj zabiera tego leniwego konia. Zaczęliśmy marzyć o tym by ją ujrzyć na własne oczy, móc ją dotknąć, obejść na około i pochwalić się rodzicom że już ją widzieliśmy. Pytaliśmy naszą panią kiedy nastąpi zaćmienie naszego konia? Pani chwilę pomyślała po czym powiedziała że zaćmienie to tak szybko nie nastąpi ale wkrótce ją zobaczymy. Nie mieliśmy już problemów i nie sprzeczałyśmy się czyj kot jest tłściejszy a czekaliśmy kiedy ją zobaczymy. I o to dziwna rzecz się stała. Przestaliśmy się martwić że ona zabiera, pożera...

To był ciepły, wiosenny dzień. Szkoła opustoszała. Cała jej dziatwa, razem z nauczycielami, poszła na pobliską górę po której kołysała się, dymiała, była hałaśliwa że przy niej nie sposób było pogadać i siedział w niej człowiek! Gospodarz zaorywanego zagonu chodził za nią i przyglądał się czy równo ziemię odkłada...

To co zobaczyliśmy było naszym pierwszym wydarzeniem naszego krótkiego jeszcze życia. Byliśmy wdzięczni naszej pani za to że pozwoliła nam iść i popatrzeć. Podejrzewam że i nauczycielka była ciekawa tego co i my.

Na drugi dzień zasypywaliśmy panią od polaka, pytaniami. Lecz nie wiele zyskaliśmy odpowiedzi. Okazało się że wcale nie jest taka mądra na jaką wyglądała. Zniecierpliwiona nie kończącymi się dociekaniem, nakazała nam opisywać wczorajsze spotkanie z nowym. Zaznaczyła że oczekuje przede wszystkim naszych oczekiwań od tego nowego. Jaka ona ciekawa,

Pisaliśmy z zapalem i w tajemnicy przed kolegą z następnej ławki. A jakie mieliśmy oczekiwania od tej maszyny...! Chyba do tej pory nasze oczekiwania się nie spełniły. Za nasze wypracowania oczekiwaliśmy dobrej oceny. Pani powiedziała że mamy bujną wyobraźnię i wyszła z klasy. Obraziła się ? Chyba nie, bo i za co? Może wyszła za swoją potrzebą?

Trochę się dziwiłem ojcu że na nim ta maszyna żadnego wrażenia nie zrobiła. Dalej dreptał za leniwym koniem i od czasu do czasu poganiał go batem. Wieczorem narzekał że się nałaził, bił go nogi i mawiał że taki chłopak to już może wyręczyć ojca w pracach polowych a nie tylko baki zbijać. Wtedy pytałem się czemu maszyny nie przyprowadzi na swoje pole? Ona szybko robi to co trzeba zrobić i po co łaźić za koniem? Ojciec nic nie odpowiadał, tylko dalej brał się za następną robotę. Jedynie matka przyznawała mi rację i mówiła że gdyby to ona rządziła to by wszystkiego ręcznie nie robiła. Na tym wygasła sprawa maszyny.

Życie dalej toczyło się powoli, pachniało szarzyną. Zupełnie jak ojcowski koń: szło leniwie przed siebie. Znów każdy chwalił się swoim kotem, mówiliśmy o tym że u tego to był ten tamten... Cieszyła nas wiadomość że jutro nie będzie pana od matematyki, trochę się martwiliśmy brakiem odrobionej lekcji. Też i przestaliśmy oczekiwać kiedy nastąpi zaćmienie konia.

Wdrapywaliśmy się na pobliską górę ale nie po to żeby wyglądać czy dobrobyt nadciąga. My szkolniacy, mieliśmy własny, swojski dobrobyt i było nam z nim dobrze.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Amicco, dodano 29.07.2009 10:42

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.